

## Moi nauczyciele?

Gdyby zadano mi to pytanie w młodości, nie miałbym większych kłopotów z udzieleniem na nie odpowiedzi. Jednakże z biegiem lat krąg nauczycieli poszerza się, niekiedy też oczywiście się kurczy, na ogół bowiem wraz z przemianami czasu i on podlega przemianom. W każdym razie jesteśmy coraz mniej pewni tego, co rzeczywiście było dla nas nauką i kogo z całym przekonaniem – po zdanych egzaminach życia – chcielibyśmy zaliczyć do swoich nauczycieli.

Bez wahania przyznaję się do czterech.

Być może rozczaruję pytającego, nie udzielając odpowiedzi wprost, nie wymienię bowiem żadnej poszczególnej osoby, żadnych nazwisk ani nawet tzw. gron pedagogicznych, związanych z konkretnymi miejscami, tylko – no cóż – szkoły, do których uczęszczałem z wielką chęcią lub takąż niechęcią i które właśnie dlatego, w taki lub inny sposób – czy tego chciałem czy nie – wyryły na mnie swoje piętno.

Oto oni, moi nauczyciele, moje uczelnie, w liczbie czterech.

**Pierwszym była natura**, a raczej szczęście, że w dzieciństwie bardzo długo, co roku przez kilka miesięcy, mogłem w poczuciu wolności (podkreślam: **wolności**, to znaczy bez duchowego gorsetu) poruszać się – dokąd tylko niosły mnie nogi wyobraźni pośród wolnej, swobodnej natury (podkreślam: **wolnej**). Oczywiście wówczas, tam w moim łódzkim świecie, natura była jeszcze nieskażona i w sposób naturalny sprzyjała życiu. Zdrowe drzewa, bujne pola i łąki porośnięte dzikim kwieciami, wszędzie krzewy pełne rozmaitych jagód, ptasich gniazd i opowieści. Rzeczki małe, niepozorne, ale krystalicznie czyste. Piło się z nich, łowiło w nich pstrągi albo raki wśród korzeni przybrzeżnych wierzb – całymi tuzinami – na codzienny obiad dla chłopca, jakim byłem, przygotowywany w polowym kociołku jakiegoś pasterza lub robotnika leśnego. Te pierwsze dziecięce

lata dostarczyły moim czerwonym krwinkom i szarym komórkom tyle czystości (nie tylko tlenu), że jeszcze dzisiaj się tym karmię.

Miasto – to zima.

Pobyt na wsi, świat, wolność, prawdziwa szkoła powszechna życia, w której człowiek z ochotą i na ochotnika podejmował się prac klasowych i domowych, i w której nawet chętnie przesiedziałyby drugi rok, to była wiosna, lato i jesień z *laterna magica* ich metamorfoz.

Jednakże miasto znajdowało się niedaleko, rośło i zagarniało człowieka coraz bardziej. Co to za brzydkie słowo: zagarniać. Ale tak właśnie było. Miejska szkoła miała z nas uczynić ludzi rozgarniętych. Tyle że pierwszych nauk, wyciągniętych z kontaktu z wolną i swobodną naturą, niepodobna było mimo to, mimo późniejszego rozgarnięcia, wykorzenić, okazały się też one bardziej przydatne niż te szkolne. To więc był mój mistrz nr 1 – wolna, swobodna natura.

**Mistrzem nr 2 był alfabet;** jego litery, niosące z sobą tajemnice, które człowiek powoli – słowo po słowie – odsłaniał i które pomagały mu odkrywać inną wolną naturę, naturę ducha. Jakkolwiek bolesny był proces odwykania od tej traconej stopniowo, zewnętrznej natury, to coraz bardziej uczyłem się poznawać tę wewnętrzną, równie wolną naturę słów, zdań, myśli. Nie potrafię dzisiaj powiedzieć, czy to drugie, znamienne doświadczenie wolnego myślenia byłoby możliwe bez tamtego wcześniejszego, decydującego przeżycia natury z całą jej wolnością, czy też może – bez owego ochronnego szczepienia, jakim był swobodny rozwój na wsi – niepostrzeżenie zamieniłbym ciasny gorset natury na równie ciasny gorset wychowania. Wiem tylko, że ten pierwszy, dziesięcioletni okres, spędzony w lasach i na łąkach, nosiłem z sobą wszędzie przez całe późniejsze życie niczym duchowy akumulator. Dzięki niemu – tak sobie wmawiałem – byłem mniej na wszystko podatny, bardziej uodporniony.

A zatem alfabet, ów uporządkowany łańcuch znaków, który można było odbierać zarówno wzrokowo, jak i brzmieniowo, z którego, jeśli go rozerwać, dawało się składać fascynujące słowa jak w jakiejś grze, a z nich znowu zdania i całe kosmiczne promy idei. Mistrz nr 2 nauczył mnie, jak fascynująco poważnie i zabawnie zarazem można z prostego, elementarnego porządku, dzięki nieporządkowi albo lepiej – dzięki innemu uporządkowaniu, tworzyć nowe, coraz piękniejsze porządki. Że dyscyplina nie stoi w sprzeczności z wyobraźnią, a wyobraźnia potrafi znakomicie pobudzić i uskrzydlić dyscyplinę.

Litery, zdania, książki. Wygnaniec z raju niewinnego kontaktu z dziewczą jeszcze naturą, zostałem wprowadzony do hermetycznego z początku towarzystwa alfabetycznej fauny i flory.

Również w tym raju świata wewnętrznego były drzewa, mrowiska i głosy ptaków – jakkolwiek inne.

**Później szkoła nr 3**, do której nie tyle chodziłem, co trafiłem do niej wbrew własnej woli. Wojna. Tuż po maturze – w roku 1939.

Pierwsi dwaj nauczyciele zostali przymusowo odsunięci, zamknięci, uznani za nieważnych, wycofani z obiegu. Nagle natura przestała znaczyć cokolwiek, a porządek wyuczonego alfabetu równie mało. To znaczy, natura coś znaczyła, tylko zupełnie co innego. Pola i łąki zostały podzielone na obszary koncentracji lub przemarszu wojsk, stając się punktami strategicznymi. Las nie składał się już z drzew, lecz z podstępnych kryjówek, ze śmiertelnych pułapek. Przez zasiewy przetaczały się czołgi, niszcząc zbiory, na żywopłotach nie wyrastały róże ani jagody, tylko strzelcy i granaty.

Nauka w szkole nr 3 – szkole wyższej, uniwersytecie, jak mówił Maksym Gorki – odbywała się bez jakichkolwiek dyskusji i przerw na refleksje, bombardowano nas upiornym materiałem nauczania, wbijano go nam do głów pancernymi.

Alfabet postawiono na głowie, litery pomieszały się, przede wszystkim zaś sucha litera prawa. Nie ma sensu mówić więcej na ten temat, fakty są powszechnie znane. Szkoła wojny z jej zmieniającymi się klasami, przymusowymi przeniesieniami i przedwczesnymi egzaminami dojrzałości trwała – łącznie z okresem niewoli – 20 semestrów. Stanowiła przeciwieństwo tego, co Nietzsche nazywał „wiedzą radosną”. Nie były to więc „saturnalia ducha”, ani „upojne ozdrowienie” czy też „Pieśni Księcia Lekko ducha”, lecz całkiem bezceremonialne ceremonie pogrzebowe, wykalkulowane epidemie unicestwienia, okaleczenia natury i człowieka oraz – niestety – lekkoduchostwo, ale w zupełnie innym, bynajmniej nie arystokratycznym, sensie. Ta szkoła wyższa zakończyła się, jak wiemy, głęboko pod ziemią, urągając całej naturze i wszelkiemu wykształceniu.

**No i ostatnia uczelnia, uczelnia nr 4**, szkoła ozdrowienia, powrotu, refleksji, przystosowywania się do dalszego życia, korepetycji z demokracją i wolności. Czerwone Krzyże zamiast Krzyży Żelaznych, rozpaczliwe próby reanimacji. Do tego oddziały minerów z tej i tamtej strony nie do końca jeszcze przerdzewiałych zasięgów z drutów kolczastych – i próby chodzenia, pierwsze ruchy, ruchy pokojowe. Liczne terapie uzdrawiania świadomości, przewycięzania psychicznych skutków malarii, tyfusu płamistego, puchliny wodnej, nienawiści i niewolnictwa. Potrzebna była wyzwalająca wizja, nieśmiało intonowano Schillerowski chorał „wszyscy ludzie będą braćmi”, jeszcze półgłosem, jeszcze niepewnie, nie do końca rozumiejąc tekst.

I nagle staje się dla nas jasne, że nad wiek dojrzali, kiedy już nie uczęszcza się do żadnych szkół i wyższych uczelni, co najwyżej do ekskluzywnych akademii, na sympozja i szkolenia, siedzimy ponownie w twardej, drewnianej ławce i to w szkole powszechnej, i że jeszcze raz musimy uczyć się wszystkiego od początku: chodzenia bez lęku wśród

wolnej i swobodnej natury, wolności i swobody poruszania się pośród liter alfabetu, zwykłej tabliczki mnożenia i niezwykłych nadziei.

Nadziei na to, że uda nam się z dobrych i złych lekcji wynieść stosowne i użyteczne nauki. Zachować je i stosować się do nich.

*Przekład: Sława Lisiecka*

## Meine Lehrer?

Bekäme man diese Frage in der Jugend gestellt, wäre es nicht so schwer, darauf zu antworten. Mit jedem Lebensjahr aber erweitert sich der Kreis der Lehrer, manchmal schrumpft er freilich auch, meist jedoch unterliegt er mit dem Wandel der Zeit diesem ebenfalls. Auf alle Fälle nimmt die Unsicherheit immer mehr zu, was einem tatsächlich eine Lehre war, und wen wir mit ganzer Überzeugung zu unseren Lehrern – nach den bestandenen Prüfungen des Lebens – zählen möchten.

Unbedenklich bekenne ich mich kurzerhand zu vieren.

Vielleicht werde ich den Fragenden enttäuschen, an seiner Sache vorbeireden, weil ich keine Einzelpersonen, keine Namen, nicht einmal örtlich fixierte Lehrkörper nennen werde, sondern – nun ja Schulen, in die ich besonders gern oder besonders ungern gegangen bin, und die mich deshalb – so oder anders – ob ich es wollte oder nicht – geprägt haben.

Hier sind sie, meine Lehrer, meine Lehranstalten, vier an der Zahl.

**Erstens war es die Natur**, vielmehr das Glück, in meiner Kindheit sehr lange, jährlich mehrere Monate lang, in der freien Natur (ich betone: **freien**) mich frei (ich betone **frei**, das heißt ohne geistige Laufgitter), mich also frei – so weit die eigenen Füße der Phantasie trugen – zu bewegen. Allerdings war damals und dort im Osten die Natur noch unbeschadet und natürlich erlebbar. Gesunde Bäume, üppige Felder und Wiesen, voll wildwüchsiger Blumen, überall Sträucher mit Beeren, Vogelnestern und Geschichten. Die Flüsse klein, bescheiden, aber kristallklar. Man trank daraus, fischte darin Forellen oder im Wurzelwerk der Uferweiden Krebse – dutzendweise – für die tägliche Bubenmahlzeit, bereitet in einem Feldkessel des Schäfers oder des Waldarbeiters. Diese ersten Kinderjahre haben meine Lungen, meine roten Blutkörperchen und grauen Zellen mit so viel Reinheit (nicht nur des Sauerstoffs) ausgerüstet, daß ich noch heute davon zehre.

Die Stadt – das war der Winter.

Der Landaufenthalt, die Welt, die Freiheit, die eigentliche Volksschule des Lebens, in der man gerne freiwillige Klassen- und Hausaufgaben übernahm und in der man auch gerne einmal sitzenblieb, das war der Frühling, der Sommer und der Herbst, mit der *laterna magica* ihrer Metamorphosen.

Aber die Stadt war unweit, sie wuchs und nahm einen immer mehr in Beschlag. (Was für ein schlimmes Wort: Beschlag. Und so war es auch. Die städtische Schule sollte uns beschlagen machen.)

Die ersten Lehren aus dem Umgang mit der freien Natur blieben trotzdem, trotz der späteren Beschlagenheit, unaustilgbar und hilfreicher als diese. Das also war der Lehrmeister Nr. 1 – die freie Natur.

44

**Der Lehrmeister Nr.2 war dann das Alphabet;** seine Buchstaben, Träger von Geheimnissen, die einem allmählich – Wort für Wort – aufgingen und eine zweite freie Natur, die des Geistes, zu entdecken halfen. So schmerzlich die Entzugserscheinungen nach dem allmählichen Verlust der freien Natur draußen waren, so sehr und immer mehr lernte man die freie Natur innen, die der Wörter, der Sätze, der Gedanken entdecken. Ob diese zweite prägende Erfahrung des freien Denkens ohne das erste entscheidende Erlebnis der freien Natur möglich geworden wäre – ob man nicht vielmehr fast übergangslos aus dem engen Laufgitter der Natur in das ebenso enge Laufgitter der Erziehung geraten wäre, ohne die Schutzimpfung des freien Wachstums auf dem Lande, vermag ich heute nicht zu sagen. Ich stelle nur fest, daß ich in all den Jahren nach meinem ersten Dezennium diese erste Wald- und Wiesenzeit mit mir wie einen seelischen Akkumulator herumtrug: Ich war, dank ihrer, bildete ich mir ein, weniger anfällig, widerstandsfähiger.

Also das Alphabet, diese geordnete Kette von Zeichen, die man sowohl optisch als auch akustisch wahrnehmen konnte, aus der, löste man die Ordnung der Kette auf, sich aufregende Wörter wie im Spiel zusammenfügen ließen, und aus diesen wiederum Sätze und ganze Raumfahrten von Ideen. Der Lehrmeister Nr.2 brachte mir bei, wie aufregend ernst und spielerisch zugleich aus einer einfachen Grundordnung durch Unordnung oder besser Umordnung neue, immer schönere Ordnungen zuwege gebracht werden können. Daß Disziplin kein Widerspruch zur Phantasie ist, und daß Phantasie sehr wohl die Disziplin zu motivieren und zu beflügeln vermag.

Buchstaben, Sätze, Bücher. Vertrieben aus dem Paradies des unschuldigen Umgangs mit der noch unverletzten Natur, eingeführt in die geschlossene, zunächst geschlossene Gesellschaft der alphabetischen Fauna und Flora.

Auch in diesem Paradies der Innenwelt gab es Bäume, Ameisenhaufen und Vogelstimmen - wenn auch andere.

**Dann aber die Schule Nr.3**, in die ich nicht ging, sondern geriet. Der Krieg. Unmittelbar nach dem Abitur – 1939.

Nun wurden die ersten beiden Lehrmeister zwangsversetzt, eingesperrt für ungültig erklärt, aus dem Verkehr gezogen. Plötzlich galt die Natur gar nichts mehr und die Ordnung des eingeübten Alphabets ebenso wenig. Das heißt, die Natur galt schon etwas, nur etwas völlig anderes. Felder und Wiesen wurden zu Aufmarsch- oder Einzugsgebieten, zu strategischen Punkten zerstückt. Der Wald bestand nicht mehr aus Bäumen, sondern aus heimtückischen Verstecken, austödlischen Fallen. Die Saat wurde überrollt, die Ernte liquidiert, an den Hecken wuchsen keine Rosen und keine Beeren mehr, sondern Schützen und Granaten.

Der Unterricht in der Schule Nr.3 – es war, frei nach Maxim Gorkij eine Hochschule, eine Universität – fand ohne jede Diskussion und ohne Pausen zum Nachdenken statt, der widerspenstige Lehrstoff wurde mittels des Nürnberger Trichters und der Panzerfaust eingetrichtert und eingehämmert.

Das Alphabet war auf den Kopf gestellt, die Buchstaben durcheinandergeraten, vor allem der schwindsüchtige Buchstabe des Gesetzes. Mehr Worte darüber zu verlieren wäre müßig, die Fakten sind allgemein bekannt. Die Kriegsschule mit ihren wechselnden Klassenräumen, Zwangsversetzungen und Notreifepfahrungen dauerte – inklusive die nachfolgende Gefangenschaft – 20 Semester. Es war das Gegenteil davon, was Nietzsche „die fröhliche Wissenschaft“ nannte. Also keine „Saturnalien des Geistes“, keine „Trunkenheit der Genesung“, keine „Lieder des Prinzen Vogelfrei“, sondern ganz unfeierliche Leichenbegängnisse, nüchterne Epidemien der Zerstörung und der Selbstzerstümmelung von Natur und Mensch und – ja – Vogelfreiheit, aber wiederum in einem ganz anderen, keinem prinzlichen Sinne. Diese Hochschule endete tief, wie wir wissen, tief unter der Erde und tief unter dem Niveau aller Natur und jeglicher Bildung.

**Und nun die letzte Lehranstalt, die Lehranstalt Nr.4**, die der Genesung, der Rückkehr, der Einkehr, der Einübung des Weiterlebens, des Nachhilfeunterrichts in Demokratie und Freiheit. Rote Kreuze anstelle der Eisernen Kreuze, verzweifelte Wiederbelebungsversuche. Dazu Minensuchkommandos diesseits und jenseits der noch nicht zur Gänze verrotteten Stacheldrahtverhaue – und Gehversuche, erste Bewegungen, Friedensbewegungen. Die vielfachen Therapien, das Bewußtsein zu heilen, die inneren Folgeschäden nach Malaria, Fleckfieber, Ödemen, Haß und Sklaverei zu überwinden. Eine freizusetzende Vision tat Not, der Schillersche Chorus „alle Menschen werden Brüder“ wurde zaghaft angestimmt, noch mit halber Stimme, noch brüchig, nicht ganz textkundig.

Und plötzlich wird uns klar, daß wir im überreifen Alter, in dem keine Schulen, auch keine Hochschulen mehr besucht werden, höchstens exklusive Akademien, Symposia und Fortbildungstagungen, uns wieder in einer harten hölzernen Schulbank befinden, und zwar in der Volksschule, und daß wir alles noch einmal von vorn zu lernen beginnen müssen: Das angstfreie Laufen in der freien Natur, die Bewegungsfreiheit innerhalb der Buchstaben des Alphabets, das kleine Einmaleins und das große Hoffen.

Das Hoffen darauf, daß es uns gelingt, aus den guten und aus den schlimmen Lektionen das Richtige, das Nützliche zu lernen. Zu lernen und zu behalten und uns danach zu richten.